

LIBERUM VETO

pismo narodowo-radykalne.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie Mk. 48.
Półrocznie „ 24.
Kwartalnie „ 12.
Miesięcznie „ 4.

Za przesyłkę pocztową 1 mk miesięcznie.

Cena egzemplarza Mk. 1.50.

Adres Redakcji: ul. Żórawia 7.
Tel. 245-83.

Prenumerować można w Administracji „Biblioteki Dziel Wyborowych“, ul. Sienkiewicza 12, (tel. 114-30) we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincji oraz w kioskach kolejowych. Za dostarczenie do domu 50 fen.

Trzy włoskie wiersze do Polski*).

Alla Polonia.

—0—

Santa Polonia, insorgil
Nel nome de' tuoi vivi,
Nel nome de' tuoi morti
Anch' essi redivivi,
Arma le tue coorti,
Risorgi a liberta.

Santa Polonia, insorgil
O martire innocente,
Che lavasti nel piatto
Le ferite cruento
Tu che sofferto hai tanto
Risorgi a liberta.

Santa Polonia, insorgil
Fiorito è il rosso giglio;
Riconsacra l' altare,
Tornino dall' esiglio,
Gli erranti al focolare,
Risorgi a liberta.

Santa Polonia, insorgil
Regina incatenata,
Sprezza le tue ritorte
O madre desolata,
Sei grande, sei forte
Risorgi a liberta.

Santa Polonia, insorgil
O terra de' miei avi,
Nazione dolorosa;
Terra d' oppressi e schiavi
Un di già si gloriosa
Risorgi a liberta.

Santa Polonia, insorgil
Innalza la tua Croce
Che al Sobieski fu gloria;
Una divina voce
Ti chiama alia vittoria...
Santa Polonia, val

Torino.

Contessa Rosa di San Marco.

L'aquila bianca.

—0—

Ci trema il cuore, l'anima ci trema
se fissiamo le dolci visioni.
L'Aquila bianca sorna sull' emblema
della Patria a garrir le sue canzoni.

Or son mill' anni i tre fratelli buoni
la tolser dal nido qual diadema
prezioso; ma la spinsero a suprema
altezza solo i fieri laghelloni.

Quanto tempo piangemmo in signoria
sotto tre sferze orribili? E chi infuse
nell' aspro cuor la forza dell' attesa?

Quanto lasciammo martiri per via?
Perche gioiscono l' anime confuse?
Sara doman la luce ancora accesa?

Aquila bianca vola! Senza rostro
e a l' ala rotta per nemica asprezza
noi cercherem riattingere l' altezza
dei giubilanti di. Che i venti d' ostro

e di possente recano sui nostrò
vermiglio cielo l'eco d'una ebrezza
disperata, e tra canti d' allegrezza
i agonia terribile dei mostro.

Ecco si slargan gli orizzonti e sola,
placata ombra, gli spiriti radduce
Koscjuszko antichi. Pecore entra stabbi
non sinmo piu. La terra pei barabbi
non piu germoglia. Liberta produce
seme di sangue. Aquila bianca vola!

Roma.

Pio Constantini.

Ave Polonia!

—0—

Salve, o infammato Popolo; a Voi gloria'

O eletti figli de la gran Polonia,
Non piu ancella, non martire avvilita,
Ne avvintaeal giogo dell' altrui fellonia.

Infrante le catene, essa li leva
Dal suo martirio, bella, generosa
La Patria vostra, a nobile falange
D' eroi vestiti d' umilta radiososa.

Arte, valore, slancio, gentilezza,
Tutto e in Voi, Polonesi. E l' Italia infiora
Il cammin dove freme il pie rivolto
Verso il sorriso de la nuova aurora.

Belli voi siete con la man sul' arpa
Che allegra il canto de la Civiltà
E ancor piu belli nel ruggito fiero
Apologia di vostra liberta,
Santamaria.

L' Ingre Andrea Dini.

* Podajemy poniżej tłumaczenie dosłowne
w prozie piera T. M.

Alla Polonia.

Święta Polsko, powstań! W imię swych żywych, W imię swych zmarłych. Nawet i oni zmartwychwstali, Wzmocnią twe hufce, Powstań do wolności. Święta Polsko, powstań! O męczennico niewinna, Któraś we łzach zmyła, Swe rany skrwawione, Ty, coś tak wiele przecierpiała, powstań do wolności. Święta Polsko, powstań! Kwitnąca jest lilja czerwona, Wyświęć na nowo ołtarz, Powrotu z wygnania, Tułaczy przy ognisku domowym, Powstań do wolności. Święta Polsko powstań! Królowo rozkuta, Pogardzaj swemi więzami, Bądź wielką, bądź silną, Powstań do wolności. Święta Polsko, powstań! O ziemio moich dziadów, Narodzie zbolaly, Ziemio prześladowania i niewolników, W dnu dzisiejszym w chwale, Powstań do wolności. Święta Polsko, powstań! Wznies swój krzyż, Który za Sobieskiego już jaśniał w chwale, Głos boski wzywa cię do zwycięstwa, Święta Polsko, idź!

L'aquila bianca.

Drży serce, drży dusza, Ziszczają się najśłodsze wizje, Biały orzeł powraca na godło swej ojczyzny, I ozdabia jej pieśni. Już tysiąc lat mija, gdy trzech dobrzy bracia, porwali ten

djadem drogocenny lecz go zepchnięto z najwyższej wysokości w niziny. Ileż lat płacemy we władzy trzech kańczugów okrutnych? I kto doda zakrzepłymi sercem mocy oczekiwania? Iluż pozostawiliśmy męczenników po drodze? Dlaczego radują się dusze strapione? Czyż jutro światło zostanie zapalone? (zabłyśnie) Biały orzeł wzlata! Już niema skneblowanego dzioba i skrzydła złamanego srogością wrogów. My, którzy dożyliśmy wesela dnia, szukamy przywrócenia wyżyn. Wichry purpury (południa) i potęgi przyniosły do naszego zaróżowionego nieba echa szalu zawrotnego i wśród śpiewu radosnego konanie okrutnego potwora. Oto się rozszerzają horyzonty i jedynie błagalny cień omracza duchów antycznych Kościuszków. Owcami spędzanymi w stado już nie jesteśmy więcej. Wolność wytwarza nasienie krwi. Orzeł biały wzlata.

Absurd germańskiego Semity.

Są prawdy, które zdawałoby się są wszystkim znane, które były aż do znużenia powtarzane, a których albo nie rozumiano, lub też powtarzano z kompletną bezmyślnością.

Zdawałoby się, że wszystkim wiadomo, iż „by uspołecznici człowieka, wyzwolici z pierwiastku zwierzęcego, zatrzeć w nim drapieżne instynkty, należy kształcić umysł, urabiać duszę, uszlachetniać serce. Tę mozolną i arcytrudną pracę przez wieki całe podejmowali humaniści, altruści, filozofowie, szlachetni marzyciele, wysubtelniali adepci wszelkich gałęzi sztuk pięknych. Owa praca zmuszała duszę ludzką zwracać się ku słońcu, ku wyżynom, ku dobru i pięknu. Ten wiekowy wysiłek tych, co najszlachetniejsi, stopniowo zwyciężał zwierzę w człowieku, przerabiając go na homo sapiens w całym tego słowa znaczeniu. Oto pochod cywilizacyjny ludzkości: stąd początek ofiarności, szacunku dla człowieka, jako człowieka, gotowość do wzajemnych dobrowolnych usług; stąd jak wyrozumowane, tak i wyczułe dobrodziejstwa zbiorowości społecznych, gdzie osobnik dopełnia innego osobnika, gdzie wszystkich jednoczą jednakie cele, t. j. najwięcej zyskać dla siebie i innych w zbiorowym wysiłku gwoli zyskania w życiu tego, co uszlachetnia, a nie upadła, co życie umiła, a nie zatruwa, co raduje i zachwyca a nie drażni, słowem, co stwarza harmonję, a nie zgrzytliwy i szarpiący dysonans. Oto jedyna droga dla rozwoju narodu i całej ludzkości, zapewne niezmiernie mozolna, trudna, gdyż pierwiastek zwierzęcy w człowieku niezmiernie oporny jest do przewyciężenia i ma swój upust w tysiącnych przejawach, a jednak tem nie mniej musi być zwalczany, by na arenę życia wydobywać istotę rozumną i uspołecznioną, zacierać zaś szkodnika, drapieżnika, słowem nierozumne zwierzę, niewęczące mozolną pracę cywilizacyjną. Oto istota cywilizacji, jedyna forma, która nieskończoną różnorodność tonów może zlewać w harmonję.

W pochodzie cywilizacyjnym ludzkość jest jeszcze bardzo daleką od swej mety i oto w tem stadjum roz-

Ave Polonia.

Bądź pozdrowiony o narodzie w zgłiszczach; Chwała wam o wybrani synowie wielkiej Polski; Niema więcej służebnicy, ani męczennicy upodlonej, Ani zwycięzkiego jarzma obcej zdrady. Skruszone kajdany, ona się podnosi, Ze swego męczeństwa, piękna, szlachetna Ojczyzna wasza, o szlachetny hufcze bohaterów odzianych w skromności promienie. Sztuka, wartość, rozpęd, ludzkość, Wszystko to jest w was, Polacy. Oto Włochy kwieć drogę, gdzie drży stopa zwrócona ku uśmiechowi nowej jutrenki. Piękni wy jesteście z ręką na harfie, Którą rozwesela śpiew Cywilizacji, A jeszcze piękniejsi w huczącym krzyku Apologji waszej wolności.

woju cywilizacji wypełza na scenę potworny absurd — „ewangelja“ socjalistyczna Marksa, głosząca przedewszystkiem walkę klasową, a przez walkę ową raj ziemski i równość.

Tam, gdzie jest walka, tam są zwycięzcy i zwyciężeni, a więc niema równych; jeśli zaś niema ani zwycięzców, ani zwyciężonych, to jednakowoż są ofiary i samounicestwienie się; pytanie, gdzie jest tu miejsce na raj, tymbardziej, że walka budzi najdziksze instynkty, a człowiek zniża się znowu do poziomu zwierzęcia, to jest zatracca to w sobie, co zdołał zdobyć w rozwoju cywilizacyjnym.

Rozpęczył absurd Marksowski nie ma w sobie nic ludzkiego, literalnie nic z tego, co zwiemy cywilizacją. A oto geneza jego: naród niemiecki, który niegdyś w marzeniach swych wyśnił sobie niemieckie niebo junkierskie z wielkim wieprzem i kadzią piwa, naród ten z czasem doszedł tylko do materialistycznego pojmowania świata i życia. Tak pojęty sens świata zrodził hasło, że dlatego się żyje, by użyć, a więc serce ludzkie zostało umieszczone w żołądku, a mózg był pochłonięty tem wyłącznie, co przysparzało środków do użycia. Słowem, w Niemczech widzieliśmy ogromny rozwój kultury i bardzo słaby cywilizacji; cywilizacja ich to małpie naśladownictwo ludów cywilizowanych i nic więcej. W Niemczech zamiast człowieka chodowały się żarłoczne dwunożne zwierzęta, które w zachłanności swej chciały ujarzmić świat cały, a które w wojnie światowej ujawniły całą ohydę żarłocznych i krwiożerczych zwierząt. Kwiatki zbydlęcenia tej rasy to oficerowie i ich względy dla przystojnych żołnierzy, to Eulenburg i Wilhelm, to panie z towarzystwa i importowani murzyni, to „gorące“ siostrzyczki i wiele innej i potwornej ohydly. U wierzchołków berlińskiej metropolji ordynarne zwierzę przeżerające się i tonące w bydlęcych uciechach i zabawach, u nizin ten sam typ i jeśli był mniej syty, na cóż więcej mógł się zdobyć, jak na pragnienie wydarcia kęsa ochłapa innemu zwierzęciu?

W tem rasowym germańskim środowisku wzrastał „prorok“ Marks, syn tułaczkiej rasy, syn zdeprawowanego przez niewolę ludu, w którego krwi było sporo małoazjatyckiego marzycielstwa, jak i nienawiści do innych ludów za urojoną, a w pewnej mierze i słuszną krzywdę. Otóż człowiek ten wysnuł z siebie i rzucił światu olbrzymi absurd, który zowią socjalizmem Marksa, a który jest marzycielstwem przesyconem nienawiścią rasową, pozorowaną szczytnymi hasłami równości i braterstwa, lecz po walkę klasową. Absurd ten godzi w samą istotę rozwoju cywilizacyjnego i sprawia takie pomieszanie pojęć, że, stwarzając pozory słuszności, wikła w swe sieci często najszlachetniejsze natury, każąc służyć takiej sprawie, która godzi w interesy nie tylko każdego narodu lecz i pracującego ludu.

Paskarz opierający swój dorobek na krzywdzie i niedoli bliźniego, chciwiec gromadzący bezmyślnie zapasy i bogactwa, to kategorie nie ludzi, to dwunożne czworonogi, nie mające nic wspólnego z cywilizacją; to typy ze szkoły materialistycznej niemieckiej, których nie liczyła nawet cywilizacja, lub wreszcie typy moralnie atroficzne, o których winien myśleć kodeks karny. Któż w dzisiejszej dobie najwięcej wspomaga paskarza? Robotnik strajkujący, czem powoduje większy brak produktów lub towarów. Któż najwięcej cierpi na paskarstwie? Tenże sam robotnik. Czyż hasła i metody spełnia prowadzący walkę klasową robotnik? Któż wielki naród rosyjski pogrążył w anarchji i niedoli, o jakiej dotąd świat nie miał pojęcia? Kto stworzył najpotworniejszą tyranję w Rosji? — Absurd Marksa z jego walką klasową. Kto najwięcej paraliżuje twórczą pracę przy odbudowie naszej Ojczyzny? Ci co rzucają hasła nienawiści i walki klasowej, wyznawcy absurdu Marksa. Kto zaś najwięcej na tem cierpi? Akurat ci, którym marksisci najwięcej obiecują, to jest lud roboczy. Któż z tych, coby chętnie dzielili się cudzem, chciał również dzielić się dobrowolnie z drugimi swoim, tembardziej, jeśli przy podziale dostało się niewiele każdemu? Kto zechciałby usilnie pracować, jeśli by owoce wzmrożonej indywidualnej pracy nie miałyby się stać jego udziałem?

Stek marzycielstwa i nienawiści rasowej do Aryjczyka tworzy misternie powiązaną konstrukcję bardzo niebezpieczną dla tych, co dają uwodzić się pozorom. W praktycznym zastosowaniu się zamęt, nienawiść, walkę wszystkich przeciwko wszystkim, słowem samounicestwienie się i zniszczenie wszystkiego tego, co dotąd człowiek pracowicie zbudował. Żadnego problemu nie rozwiązuje, a ludom uwiedzionym gotuje zagładę, lub co najmniej niewolę.

Ewolucja i wogóle postęp ludzkości tkwi w naturze samego człowieka, czego najlepszym i namacalnym dowo-

dem rezultaty już osiągnięte u ludów cywilizowanych, gdzie socjalizm odgrywał rolę impulsu pobudzającego do sanacji stosunków i nic więcej. W krajach wyniszczonych przez wojnę nawet i tej roli nie można mu przypisać; natomiast paraliżująca i niszczyielska praca wtrąca społeczeństwo w trans przedśmiertelnej agonji i bezwładu — praca wyznawców absurdu Marksa.

Stanisław Trzcński.

Na dobie.

—0—

Nie mając możności dyskutować z trybuny sejmowej, pozwalam sobie poruszyć i oświetlić pewną żywotną sprawę doby bieżącej.

Pan Daszyński w mowie swej, wypowiedzianej w Sejmie na temat debaty rolnej, konkludował w te słowa:

„Od panów zależy mieć pokój, czy spór ten skończy się prawem, czy katastrofą i gwałtownym przewrotem, który tem gorszy będzie, jeśli będzie trwał długo, w poszczególnych zużywając się rozruchach przez lat dziesiątki. Nie lądźcie się tem, jakoby jakakolwiek żandarmerja świata mogła tutaj stanąć w poprzek temu, co siła gospodarcza i żądania gospodarcze egzystencji narodowej stawia jako konieczność“.

W słowach tych czuć groźbę, groźbę przed siłą żywiołową ludu w rozmiarach katastrofalnych, niby działanie „palca Bożego“. Zgadzam się na taką definicję, bo we wszystkim możemy się dopatrywać działania siły wyższej, ostrzegającej złowieszczemi słowy: „mané, tekel, fares“. Ale sprawiedliwa Nemezis mści się i mści się na komendę pałających zemstą, lecz jest to wymiar sprawiedliwości wyższego gatunku, obejmującej zarówno przewinienia obu stron, jak również i charakter tych żywiołów, które używa, jako swe narzędzie.

I trzeba bezkrytycznego traktowania sprawy, trzeba wyzucia się z samokrytycyzmu, by występując jako trybun nie uwzględnić przeciwników, tak łatwo dostrzegalnych dla każdego umysłu, który zdala się trzyma od hasel demagogicznych i od tak zwanych „straszaków politycznych“.

Każde opieranie się na ciemnych mocach budzi reakcję przeciwnych żywiołów. Czyż więc pan Daszyński nie przewiduje reakcji całości narodu, reakcji prawdziwego intelektu, który bądź suggestjonowany w sferach niższych przez demagogję, bądź chwilowo odsunięty od czynnego, żywszego udziału, zaciska także zęby, lecz gotowy jest w każdej chwili podnieść rękawicę, jaką mu ciska zbyt cynicznie spekulacja polityczna i polityczne zaprzaństwo.

Rodzima nasza wiara w siebie, wiara w wydobywający się z głębin naszej narodowej pierwiastek czysty,

jako opoka zdrowego — właśnie tego chłopskiego rozumu — rozumu, który pan Daszyński bagatelizuje, każe wróżyć o rychłym krystalizowaniu się z oparów sztucznie rozdętej ideologii i ukształtowania się samodzielnej orientacji myślenia sił, dziś podjudzanych stale, bynajmniej jednak nie ujarzmionych i ujarzmienia nie potrzebujących. Dlatego aluzja do „żandarmerji świata“ w zastosowaniu do polskiego gruntu wydaje mi się jakąś fantasmagorją, a z piany prześlinienia się w kaskadach słowa, bodaj czy nie wyrasta negatyw otrzeźwiający i restytucja zdrowego myślenia.

Zygmunt Wiiski.

24 czerwca 1919 r.

Tajemnica Monaco.

—x—

Książę-sutener i jego współnik szuler.

Pod tym tytułem ukazał się w „Action“ bardzo interesujący artykuł o Monte-Carlo Leona Daudeta, autora, u nas niesroty niereklamowanego, jak Barbusse, a więc nieznanego naszym snobom i snobitkom.

Książka Daudeta, napisana na parę lat przed wojną p. t. „L'avant guerre, etudes et document sur l'espionnage Juif allemand“, wykazywała już wtedy całą groźbę niebezpiecznie rozgałęzionego szpiegostwa żydowsko niemieckiego pod osłoną różnych firm i domów handlowych i zbyt łatwego przez Francję naturalizowania żydów.

Książka z tego Zachodu, tak tolerancyjnego, dbałego o los mniejszości narodowych otworzyłaby i u nas oczy niejednemu Polakowi i obudziłaby u śpioną czujność.

Przytoczone poniżej fragmenty z artykułu o Monte-Carlo są i dla nas bardzo ciekawemi, rzucają bowiem dużo nowego światła w wewnętrzne szachierki zarządu Monte-Carlo, tej akademji dobrego tonu i szerokiego światopoglądu naszej arystokracji, głównie galicyjskiej i kresowej i naszej warszawskiej plutokracji, imponującej reszcie społeczeństwa, iż w kasynie na jasnym brzegu przegrywała przez jedną noc całe klucze i majątki.

Tymczasem Monte-Carloska szkoła nauk politycznych dla dobrego towarzystwa, okazała się kuźnią wszelkich intryg anti-francuskich, z kąd w zdradziecki sposób skierowywane były na Francję uderzenia socjalo-boszów. Salony polityczne Kasyna monte-carloskiego stały się przed wojną głównym siedliskiem szpiegostwa niemiecko-żydowskiego. Tu właśnie spółka księcia Monako i Gerault Richarda, sprokurowała sekretne dokumenty dyplomatyczne dla sprowokowania zerwania między Francją a Watykanem. Gerault Richard awanturnik, który był przez dłuższy czas dyrektorem „Petite Republique“ socjalistycznej, miał przy końcu swego lotrowskiego życia funkcję

urzędową w lombardzie w Monaco. Mając przekupioną całą prasę nie pozwalał na najmniejszą aluzję co do haniebnego pochodzenia olbrzymiej fortuny domu Blanc i poruszenia w prasie masowych samobójstw. Był to już początek afery pisma „Bonnet-rouge“ i aljansu między finansami niemieckimi i bandą anarchji i stow. paryskich. Gerault-Richard umarł w sam czas, unikając zamieszania w straszną sprawę. Albert z Monaco pozostawał wtenczas w zażyłych stosunkach z Wilhelmem II i był węzłem między Hohenzollernami i ich pomocnikami z Międzynarodówki w Paryżu.

Na tablicy marmurowej, umieszczonej w wielkiej hali muzeum Oceanique w Monte figurowało na jednym z pierwszych miejsc imię Wilhelma II.

Po pierwszym zwycięstwie Joffre'a nad Marną Albert z Monaco zmienił oczywiście swój front i zaparł się swojego dawnego przyjaciela. Tupet swój co do swego alibi posunął aż do drukowania pracy pod tytułem „Wojna niemiecka i sumienie wszechświata“, które rozbudza się dopiero w dniu, w którym szulernia kryminalna Monaco, tak nieodzowna dla niemieckiego szpiegostwa zostanie bezpowrotnie zamkniętą.

Oto pierwsze zadanie „sumienia wszechświatowego“. Zaznaczam tu, iż według otrzymanych informacji i to od Kamila Blanc główne miejsca zajęte były przez boszów w kasynie w 1914 roku w następujący sposób: dyrektor generalny Wicht, niemiec; inspektor zakładu wód mineralnych Konried austriak, inspektor naczelny teatrów Kranich niemiec, naczelnik służby telegraficznej w klubie sportowym Korn niemiec, naczelnik zakładu masażu Mueller niemiec, drugi dyrektor gry Kohl niemiec, drugi szef gry Edling niemiec, dyrektor chórow Pring niemiec.

Oczywiście ta germanizacja masowa wszystkich pierwszych urzędów rozległej jaskini szpiegostwa i prostytucji nie mogła się odbywać bez przyzwolenia Albetta Monaco, który czasami udawał dla pozorów i świata, rozdwojenie i niezgodę z K. Blanc, którego jednak przywileje zostały niedawno odnowione na przeciąg roku 1919. Te dwie kanalje książę i szef krupierów mają za dużo trupów na sumieniu, aby się kiedy mogły kłócić na serjo.

To co zadecyduje Blanc Albert—La Roulette akceptuje i na odwrót.

W księstwie Monaco inaczej ich nie nazywają jak Robertem i Bertrاندem, chociaż właściwie trudno byłoby określić czy Albert jest więcej Robertem Macaire czy też Kamil Blanc bardziej Bertrандem.

Wiadomem jest to tylko, iż przy podziale łupu zdobytego na naiwnych graczech zwabionych ich reklamami, i urokiem miejscowości, połowa olbrzymich dochodów szła zawsze na przekupienie prasy i subwencjonowanie re-

wolucji socjalnej, posuwając się aż do pobudzenia do mordów patriotów.

„Można odpowiedzieć mi, iż Monte-Carlo jest poza terytorjum francuskim. Jednak uznając nawet księstwo Mona-

co jako państewko „suwerenne“, czyż możemy tolerować w granicach jednak naszego państwa szulernią skąd stale zagraża nam zaraza moralna i materialna“.

lutnie nic ich nie wiąże, ani pochodzenie, ani światopogląd i sposób życia, musieliby i oni być wciągnięci w konieczne skutki walki o naszą niemieckość i naszą kulturę“.

„W każdym razie wymaga sprawa żydów wschodnich uwagi naszych pracodawców i rozwiązania w myśl zamknięcia granic jeszcze przed zawarciem pokoju i zanim chmary wschodnie ruszą się ku naszym granicom“.

KRONIKA POLITYCZNA

Głosy obcych, świadczące o tolerancji w Państwie Polskiem.

—o—

Włoch, Ludwik Antoni Caraccioli. Dzieło: La Pologne, telle qu'elle a été, telle qu'elle est, telle qu'elle sera. Poitiers 1775.

Stan niewolny, któryby winien był przydusić lud, nie przynębia go, przywykł bowiem do tego jarzma, które zresztą jest o wiele znośniejsze aniżeli położenie chłopów w innych krajach, w których brak im wszystkiego a spodziewać się nie mogą niczego“. Ni do dyssydentów nie może iść w porównanie z nienawiścią Szwedów, Duńczyków, Anglików a nawet Holendrów przeciwko katolikom... Musi się przyznać, że Polska nie mękała protestantów i że jeśli istniał w Europie naród tolerancyjny, to nim byli Polacy, wszakże są tam nawet ustawy polecające królom przy wstępowaniu na tron zaprzysiężenie tolerancji wszystkim religiom.

Francuz, Jean Le Laboureur. Dzieło: Histoire et relation du voyage de la royane de Pologne. Paris 1647.

„Możnaby też zganić, że mają władzę zabijania swych poddanych i służby, ale trzeba uwzględnić, iż zdarza się to rzadko a jeśli niema wyraźnego zakazu, to jedynie z racji politycznych: dla utrzymania powagi, przysługującej im zdawna względem ludu, który muszą trzymać w respekcie i strachu“.

„Złe obchodzenie się z służbą krajową nietyle płynie z okrucieństwa panów co raczej z usposobienia wrodzonego sług, którzy istotnie nie nie są wari i rozzu-chwalają się, o ile ich się nie bije a przynajmniej nie traktuje surowo i z pogrozkami“.

Francuz, L'abbé Coyer. Dzieło: Histoire de Jean Sobieski. Amsterdam. Tom I.

„Nie widziała ona na swem łonie ani spisku prochowego, ani nocy św. Bartłomieja, ani rzezi Senatu, ani mordu królów, ani braci uzbrojonych przeciwko braciom: jest to kraj, w którym najmniej ludzi spalono za to, że się pomylili w domatach“.

Francuz De Castera. Dzieło: Essai politique sur la Pologne 1764.

„Trzeba podnieść że większość ich wad rodzi się nietyle z głębi ich usposobienia i charakteru, jak raczej z konstytucji ich rządu. Charakter skłania ich do łagodności, która ich odstręcza od wielkich zbrodni; dwa stulecia wykazują w Polsce mordów, trucielielstw, okropnych rozbojów i tym podobnych nadużyć

o wiele mniej niż dwa lata ich rodzą w innych krajach lepiej administrowanych“.

Francuz, Volter: Histoire de Charles II. Oeuvres tom XXVI 1785.

„Coprawda nie zapalono stosów, które ongiś za czasu Albigenów w perzynę obróciły całą prowincję, nie zatopiono 24 miast w potokach krwi własnych mieszkańców jak to było w Méridol i Cabrières, nie wystawiono na placach publicznych tortur i szubienic przeciwko prawosławnym i protestantom jak to było we Francji za Henryka II, nie mówiono w Polsce o naśladowaniu nocy św. Bartłomieja ani rzezi irlandzkiej lub piemontkiej, strumienie krwi nie popłynęły jeszcze po obszarach królestwa za sprawę Boga pokoju“.

Anglik, Bernard O'Connor. Dzieło: The History of Poland. Giving an account of the present state of that Kingdom wis the form of gouvernement, the king pover, court and revenues, London 1698.

„Trzeba wprost podziwiać łagodność i umiarkowanie szlachty polskiej wobec tego, że ma władzę życia i śmierci nad swymi poddanymi, że nie jest skrepowana żadnymi prawami, a sprawiedliwość tam tak niedbale jest wymierzana... Rzecz pewna, że gdyby naszym Anglikom dano trzecią część ich wolności, toby sami siebie wzajem zabijali, ani bowiem działość naszych urzędników, ani surowość praw, ani rygor naszych sędziów, ani ściśle wykonywanie wyroków nie może osiągnąć tego, szubienice i miejsca tracenia mniej u nas były zapełnione.“

Georg Fritz o... bolszewizmie w Niemczech.

—o—

Dzieło: „Sprawa żydów wschodnich, sjonizm i ochrona granic“. Monachium J. F. Lehman 1917.

„Przestrzegam jednak usilnie przed tem „żółtem niebezpieczeństwem“, które grozi nietylko narodowi niemieckiemu, ale także naszym żydom niemieckim. Ciężar w dół cisnący zawisł na ich z trudem wyciągniętem równouprawnieniu i groziłby im na nowo wobec nieodzownie wtedy koniecznego rozwiązania kwestji żydowskiej“. Większość żydów niemieckich w uczuciach i myślach, w poglądzie życiowym i kulturze zbliżyła się do 1^o narodu niemieckiego. Jeśliby jednak oświadczyli oni swą zupełną zgodność z napływającymi masami, z którymi w swej większości abso-

Hallerczycy.

—x—

Już są między nami prawie wszyscy. I Bajończycy i Amerykanie i legjon włoski i cząstki legjonu syberyjskiego i dawni jeńcy z armji austrjarkiej i byli jeńcy z armji pruskiej. Są tacy, którzy Polski od 4 lat nie widzieli i tacy, którzy wychowani po angielsku dopiero w obozach francuskich uczyli się mówić po polsku. Są wnukowie górnośląskich emigrantów z roku 1848 i synowie emigrantów francuskich z r. 1863. Jest między nimi prawnuk księcia Murata, co to pierwszy do Warszawy wjeżdżał w r. 1806 po przepędzeniu Hunnów Fry. Wilhelma II i są między nimi I. K. Moście dwaj książęta Poniatowscy Stanisław i Kazimierz, synowie J. K. Mości księcia Andrzeja a praprawnukowie księcia podskarbiego, synowca ostatniego króla Polskiego. Ci dwaj ostatni służą przy oddziałach automobilowych i tankowych, francuskich, przydzielonych na stałe do armji Rzeczypospolitej. Tanków lekkich przywieźli ze sobą Hallerczycy 150 a 200 dział lekkiego kalibru a 80 dział cięższego kalibru.

Przybyli do ojczyzny najdłuższymi szlakami ostatni najostatniejsi, ale wstępnym bojem zyskali sobie od razu serca wszystkich. Znamionuje ich najtęższa siła fizyczna i muskularna, zdrowie tryskające z lic, karki silne, plecy szerokie i rozłożyste, doskonały ekwipunek, wzorowa dyscyplina, wyszkolenie ostateczne i czysto amerykańskie erupcyjność, szczerłość i żywiołowość impulsów i odruchów. Hallerczycy są istotnie typowo amerykańscy. Przybývają bowiem z kraju lynchu, z kraju „teerens and federns“. Co to znaczy to słowo? Oto w Stanach Zjednoczonych w latach 1917 i 1918 w miastach małych i wielkich kogo podejrzewano o sprzyjanie Hunnom, o szpiegostwo, o paskarstwo, o „neutralizm“, wyciągano z domu, wywlekano za miasto, gdzie w ustronnym miejscu stały naszykowane duże kadzie ze smołą i z piórami, z puchem gęsim czy kaczym. Szpiega, szpicla, neutralistę, wroga interwencji amerykańskiej robierano do naga, poczem zanurzano najpierw w kadź ze smołą, poczem w kadź z pierzem. I takie monstrum wypuszczano potem w pejzaż, w lasy, gdzie zwykłe z bólu, w obłądziej, w głodziej, ginął wyszarpując sobie upierzoną

skórę z mięsem. Bywały i przeciw temu „teerens and federns“ meeting'i protestujące, ale obyczaj trwał aż póki zdrady, zaprzaństwa i łajdactwa nie wytrzebiono z kretesem.

Napatrzyli się nasi polscy Sammies z za oceanu i innych dość ostrych praktyk. Widzieli jak w niektórych Stanach twardo i brutalnie postępuje się z czystym zresztą, uczciwym i cywilizowanym Negroes, widzieli jak się traktuje w Nowym Yorku i w San Francisko brudnych i szachrajskich Chińczyków w ich dzielnicach, widzieli, że są w Stanach hotele, boarding-housy, ba nawet całe miejscowości kąpielowe, gdzie nie wolno przyjeżdżać i zamieszkiwać Hebrejom, nawet multimilionerom... Tak w Ameryce... w „promised land“ wybranego narodu... w melting-pot (tyglu) wszystkich ras globu...

Stąd pewna bezceremonialność w zachowaniu się i w manierach Sammies z batalionów amerykańskich. Pierwszy raz w życiu zobaczyli szczerp jeszcze niechlujniejszy od Chińczyków. Słyszeli, że ten szczerp w Ich wymarzonej macierzy ojczyźnie masowo rozmnożony, mówi takim samym językiem jak „damned Germ-Huns“. Więc dali się porwać chwilowej spotanicznej foolisch passion: Ponieważ są to Słowianie i przeważnie członkowie Y. M. C., więc nie linczują zaraz, nie wprowadzają „teerens and federns“, nie przywiązują do drzew i rozsadzają granatami, nie wieszają na gałęziach na dół głową, nie batożą „knoutami“ i nie druzgoczą szczerk gumówkami, ale wpadli na lechicki koncept obcinania bród niemitych od urodzenia...

Trzeba żeby i tego nie robił! Wzywamy was kochani żołnierze z za Oceanu zaprzestańcie tych nieeuropejskich igraszek. Przy takim zabiegu higienicznym często się poturbuje nieco tego lub owego opornego i dzikiego, jak określają z was niektórzy „Chińczyka z warkoczem z przodu“. Z tego się robi odrazu gwałt na obie półkule a lord Maseltopf i Anatol France muszą zaraz przemawiać na meetingach. Tą drogą naszych Chińczyków czystości i ochędostwa nie nauczyciel! Dwa lata temu, kiedy Prusacy wprowadzili przymus kąpeli dla naszych najserdeczniejszych, jeden żydek trzynastoletni skoczył z trzeciego piętra na bruk, kiedy szli po niego by się wykąpał; skoczył i poniósł śmierć męczeńską w obronie ideału... wieczystego brudu... Wiedźcież o tem kochani Hallerczykowie i nie dajcie się porywać odrazie i gniewowi. Nożyce czy bagnet, którym odcinają się brody, nie rozcinają węzła gordyjskiego żydowskiej kwestji. W Wielkopolsce nie było nigdy żadnych ekscesów a „Chińczyków z warkoczami z przodu“ zdołano się pozbyć. Tylko jeżeli zjednoczona Polska pójdzie ściśle za przewodem Wielkopolski, ojczyzna nasza wyleczy się z świerzbu semickiego. Ekscesy obecne to drapanie się po ciele rekonwalescenta, roz-

jadzające obolale miejsca. Stop Sammies!

Star Spangled Banner.

Dnia dzisiejszego obchodzą Zjednoczone Stany Ameryki Północnej swoje święto narodowe. Wraz z nimi obchodzi uroczyste dzień ten cała ludzkość cywilizowana, wyzwolona także z kosmaru zagrażającego światu imperjalizmu Teutonów. W rządzie narodów, które w dniu tym jednoczyć się będą w nastroju uroczystym z obywatelami Stanów Zjednoczonych stoi jedna z pierwszych i odrodzona Polska. W orędziach prezydenta Stanów Zjednoczonych T. Woodrowa Wilsona spłaciła Ameryka w znacznej już części dług wdzięczności, jaki zaciągnęła ongiś wobec Polski dzięki bohaterskiej współpracy, z jaką wojskom Waszyngtona pospieszyli generałowie Kościuszko i Pułaski. Społeczna Polska wie już i zdaje sobie sprawę jasno z tego, jak wiele jak omal wszystko zawdzięcza wiekopomnym, przepięknym, prostym, wzniosłym szlachetnym słowom dostojnego sternika olbrzymiej nawy emporium amerykańskiego. Jeszcze trzy lata temu większa część inteligencji polskiej zamagnetyzowanej sugestjami teutonów nie wierzyła w interwencję amerykańską, nie przywiązywała wielkiej wagi do pierwszych wielkich napomnień i groźnych monitów godnego następcy Jerzego Waszyngtona.

Dzisiaj cały naród nasz wie już jasno, że wszystko co radosne i dodatnie w tej wojnie zawdzięcza w pierwszym rządzie Stanom Zjednoczonym i Republice francuskiej, poczem Królestwu włoskiemu, a jeszcze w pewnym stopniu i Trojkrólestwu angielskiemu. Dzisiaj Sztandar Gwiazdzisty obok Tricoloru francuskiej i naszego narodowego sztandaru jest nam największego szacunku godnym emblematem. W dniu radosne wywieszamy go wraz z naszymi z naszych wieżyc i z okien naszych domów. Odtąd na widok niegdyś utęsknionego a dziś ukochanego Star pangled Banner każde usta polskie będą powtarzały słowa: Honor and glory! Hippi! Hippi! Hurra!

* * *

Nie zbyt od rzeczy będzie kiedy tu przypomni się, (skoro nikt inny nie kwapił się raz to zarejestrować), że Star spangled banner ukazał się w Polsce po raz pierwszy oczom społeczeństwa nie na żadnym placu publicznym ni na obchodzie, ale na... scenie. Lat temu sześć, znacznie przed wojną europejską, świeżo ufundowany w Warszawie Teatr Polski wystawił sztukę, w której autor każe galicyjskiemu „Pollaczkowi“ klęknąć i całować klęcząc sztandar amerykański. Część publiczności (meheszy i méteques) przyjęła tę scenę protestem i gwizdaniem, krytyka (inwektywami), Galicja przemilczaniem; niejaki hr. Rostworowski, Wojciech z Imienia, poświęcił autorowi dwa srogo polemizujące z nim feljetyony...

W drugim roku wojny, znacznie jeszcze przed orędziami Prezydenta i przed interwencją amerykańską ten sam Star spangled ban-

ner pojawił się w Innej sztuce tego samego autora, tym razem na scenie krakowskiej. Było to na świeżo po listopadowym „scrap of paper“ obu cesarzów. Publiczność sztandar gwiazdzisty przywitała ozięble, prasa enkainowała lakonicznie ale za to najgorzej; niejaki Beaupre, szmok krakowski najlichszego kalibru, wykipił przy tej okazji i Wilsona i Waszyngtona.

Dzisiaj hr. Rostworowski siedzi na wsi, jak mysz pod miotłą na pokucie, a szmok Beaupré przesyła z Paryża do „Czasu“ entuzjastyczne o Wilsonie epistoły.

W obronie Primadonny.

—o—

Nowy faworyt historycznie postępowej, płytka rozpolitykowanej, sejmowaniem rozbawionej, na fifach i herbatkach z madelenami rozgwarzonej „Warszawki“ poseł Ignacy Daszyński zaszedł sobie jak często na śniadanko do „Europy“. All-right. Jest to tylko dowód więcej, że czysto austriacka do niedawna znakomitość zaczyna się „europeizować“ i tracić do reszty czarno-zółte plamki i wyrzuty na swej karnacji. Trudno wymagać od najmłodniejszego faworyta Warszawki, o którym się dziś tyle mówi ile dawniej o mecenasie Korwinie, lub o Gasińskim, aby chcąc zjeść znośne śniadanko w do-brem towarzystwie szedł z posłem Klemensiewiczem np. do kawiarni Tango, miejsca rendez-vous wszystkich Komunardów i bol-siwików. Zaszła sobie tedy Bogu ducha winna perła pepeesów na perliczkę z truflami i butelczyną Sauterna do „Europy“. Pech piekielny chciał, że przy stoliku sąsiednim siedział sobie przy rosole i sztukamięsie z „kwiatkiem“ i z chrzanem kolega poseł księżulo Sobolewski. Wobec tego, że w obecnym momencie historycznym kiedy nadszedł już „dzień zapłaty“, księża siedzą przeważnie po więzieniach pruskich i w tiumach ukraińskich, nasz szykowiec radek-alny nie spodziewał się, że w Europie natknie na jakiegoś przeklętego klechę, który mu będzie gapił się w talerz i odcyfrowywał markę wina na buteljansie. Zresztą coprawda pragnął tego dnia wypić coś solidniejszego pan poseł ot poprostu tak dla konsolacji, żeby nieco zalać robaczka. W ostatnich czasach miał trzeba przyznać małe zgryzoty. Nie powiodły się pewne ataki. Najpierw nie powiodł się w Wschodniej Galicji atak na Ukraińców byłego domowego guwernera dzieci pana posła proletarjackiego, niejakiego pułkownika Sikorskiego, tego samego Sikorskiego, który w r. 1915 zjechał do Warszawy z Prusakami i tu przez cały rok agitował namiętnie wedle dyrektyw p. Daszyńskiego za natychmiastowym stworzeniem silnej armji polskiej, któraby szła na pomoc zwyciężającą Europę Niemcom. Teraz ten pułkownik Sikorski, dawny adlatus pana posła zabawiwszy się w brawurową awanturę stracił fatalnie kilka bataljonów i do dawnych swych bobków aktywistycznych nie dodał świeżych laurów. Ale również nie udał się atak generalny i samego ongiś chlebo-dawcy p. Sikorskiego, pana posła. Z tu-petem nieustraszonego rycerza, który pa-

sowany był i ostrogi dostał w samym „Widniu“! rzucił się jak Samson z osłą paszczką na endeckich Filistynów, z odwagą Don Jouana d'Austrja (któremu padały do stóp jak kłosy wszystkie dziewnice ze Stradomia) wierzgnął Pankracy z Pokrakowa w stronę Dmowskiego, a Sejm nie poznawszy się na tym rozumnym, politycznym, na tym przepysznym, rzymskim gościu krakowskiego tytana przeszedł nad jego wnioskiem olbrzymią większością do porządku dziennego jakby nad jakimś pużakowskim blażeństwem rozgrymaszonego prowincjonalnego pajaca, jakby nad jakimś bismarkatym wybrykiem podchmielonego pyskacza, jakby nad jakimś zbyt już wrzaskliwym kikeriki rozbuchanego czerwonego koguta, który wyłazłszy na jeszcze większą grzędę zapiał dyszkantem: teraz jeszcze wyżej sięde!

Miał więc, jak się rzekło pewne zmartwienia pierwszy nie tyle prezydent ile rezydent Republiki Polskiej. Dlatego też sobie zaszedł w milej kompanji na kropelkę czegoś lepszego do „Europy“. Niema żadnego sensu brać mu to za złe i wymawiać publicznie. Czy panowie socjaliki wymawiają Endekom że zjadali barszcz u Cubata lub Niedźwiedzia? POCO takie rzeczy wywlekać na forum externum? Dlaczego wytrawny polityk nie może sobie pozwolić na wytrawne wino? Odkąd to szampionowi proletariatu nie wolno lyknać szampana burżuazyjnych harpij? odkąd to gladiator ludu nie może cmoknąć Roedera-Gladiateura? Co znaczy takie wtrącania się do żołądka pierwszego bohatera, pierwszego amanta, pierwszego, charakterystycznego starca niepodległej i zjednoczonej Perlski? Czy dlatego że pan Ignacio nie chciał żadnego dostępu do morza, to wy mu chcecie wzbronąć dostępu do „Europy“? Czy dlatego że podczas wojny europejskiej gustował w ideologii berlińskiej, to ma teraz pić niemiecki Kupferberg-Gold i jeść węgieraki gularz z papryką w Kooperatywie towarzyszków kelnerów? Jakim prawem wtrącać się do jadtospisu posła Daszyńskiego? Powiecie na to, że stary Jaures nie chadzał do Rumpelmajera, ani do Ritza ani do Abbey Telemy w Paryżu. Tak? Więc co z tego? Nie chadzał Jaures ale za to chadzał do maleńkiej gurgoty na Montmartrze no i ostatecznie tam go właśnie zabili, bo wiedzieli gdzie go szukać. Gdyby był tego dnia poszedł do Ritza, z pewnością byłby żył jeszcze. Powiecie, że stary Bebel nie chadzał do Borcharda, a stary Plechanow do Cubata, a Snowden do Cecil-Hôtelu i t. p. No i co z tego? Niechodzili bo starzy i w starym guście. A poseł Daszyński jest „w nowym guście“ i jest młody, wiecznie młody, omal młodzieniaszek. Choć ma przesłizne czarujące, „sugestywne włosy“ jak mówi pani Reginka, to jednak zachował bajeczną sprężystość ruchów i dlatego się tak „Warszawce“ podoba. „Pan jest tak elastyczny jak cesarz Franciszek Józef“ powiedziała raz do szampiona fraków z melancholiją warszawska pani Lala, wyczuwając, że tym komplementem trafi wprost w samo serce tego heroicznego

niepodległościowca, który marzył nocami bezsennymi gryziony przez moskity w Abbazji, aby na tronie Jagiellonów zasiadł wreszcie ich praprawnuk po kądziółce cesarz Karol...!

Niema więc najmniejszej racji robić całą aferę z tego, że ten leader i Leander Heroicznej Partji idzie sobie na raczki z koperkiem czy też by zjeść jeszcze jednego endyka nadziewanego do „Europy“ i aby tam naocznie się przekonać jak się to tuczą na krwi ludu wraz z obszarniki, kamieniczniki i kołtuny pożerające kolduny. Można być co do reformy rolnej rewolucjonistą, ale co do kuchni konserwatystą. Frakowi nie koniecznie musi być nie do twarzy w smockingu. Socjaldemofrakowi Daszyńskiemu jest doskonale do twarzy w smockingu i dlatego tak mu się udało szybko skokietować „Warszawkę“ „która się bawi“, która się bawi formami i reformami, która znosi i toleruje, ba nawet gustuje i w rewolucjonistach, byle byli „sympatyczni i comme il faut“, byle byli oszlifowani, byle byli manieuirowani, byle nie nosili kapeluszków z szerokimi rondami jako ten Bebel, Jaures, Plechanow, Krapotkin i byle mieli tak elastyczne ruchy jak Franz Jozef der Erste Letzte, lub jak ten nasz „straszny ale przystojny“, „okropny ale elegancki“ dema-gogo wideński.

Godzi się więc najstanowczej zaprotestować przeciw inwektywom i napaściom księdza Sobolewskiego. Wysłannik ludu galicyjskiego przywykł jeszcze za panowania jego Franza-Josefa-Hunjadji-Lajos-Bitterwassera jeździć tylko sleepin-gami, a we Widniu uczęszczać, nie do żadnych fiakerskich „szwemme“ ale do Sachera, do Maczaker-Hoffu i do naddunajskich Cubatów. I w Warszawie swoich dobrych gustów i „noble passionen“ wypierać i oduczać się nie myśli. Jest konserwem zarówno w rzeczach Marksa jak i w rzeczach Fukera. Tanim szowinizmem, tanim „safandulskim imperjalizmem“, jak i tanimi cygarami (które pałą te szelmy reakcjonisty z Poznania) niewymownie się brzydzi! Restauracji, w których „kulturerja zeżera źle przyrządzone flaki nie znosi, cierpieć nie może. Nadto jako rzeczoznawca, jako ekspert w sprawach leśnych przepada nasz socjalistyczny do pewnego stopnia engrosista (bo wybrany głównie dzięki żydom zmobilizowanym przez mecenasa Grossa w Krakowie) Daszyński za greckimi rodzinami. Cóż się to i dziwić. Inni Kesselerczycy lubili jabłka tyrolskie... śliwki bułgarskie... winogrona węgierskie, a on viator, podróżnik po całej Austrji, co to i na Karscie (Krasie) hohohoho! a nie tylko w Abbazji bywał! On lubi pasjami greckie rodziny. Tymczasem zaś prawdziwie autentyczne greckie rodziny są tylko w „Europie“. Więc gdzież miał iść na greckie rodziny nasz honorowy nadleśniczy jak nie do Europy? Któraż to jeszcze restauracja w Warszawie ma autentyczne koszerne czy koliszernie rodziny z greckich gajów, na których to gaikach tak się zna ton skrós genialny wiedzowiec, wszystko-wiedz, encyklopedysta, któremu tylko zła

wola paszkwilantów zarzucić może, że cała jego erudycja partyjna to „rodzynkowe“ Iesefrüchte z Arbeiter Zeitung, Vorwärtsa, Berliner-Tagblattu, studjowanych przez 20 lat skrupulatnie w żydowskich kawiarnianych akwarjach krakowskich?

Zaiste bardzo nie w porę wybrał się ksiądz Sobolewski ze swoim brutalnym atakiem na naszego orędownika warstw pracujących, na naszego gajowego państwowego, na naszego „nowego Europejczyka“. Zaiste w wysokim stopniu niesmaczną była napaść tego obserwanta „klechy“. To też całkowicie spaliła na panewce. Poseł Daszyński może sobie śmiało powiedzieć: Niema się tam co martwić tym... wpadkiem. Wyborcy są od tego żeby wybaczali. Śmiej się z tego Ignacy! Ridi Pajazzo!...

Feldman wraca do literatury.

—o—

Wilhelmów Feldmanów podczas wojny europejskiej było w Berlinie dwóch. Jeden z nich uważa się trochę za Turka i wkroczył do Warszawy z wojskami księcia bawarskiego jako korespondent wojenny. Drugi jest ciągle niesłychanie sarmacki, romantyczny, neoromantyczny, meşjanistyczny, patriotyczny, niepodległościowy, wolnościowy, postępowy, modern i secesyjny, ale w motywach ludowych, prozowickich. Sympatyczniejszy i bardziej interesujący jest ten pierwszy; który ani słowa nie mówi już po polsku, a dużo słów po turecku i także się w Galicji urodził. Kiedy się w r. 1916 przeglądało książkę Feldmana-Turka p.t. „Z księciem bawarskim w polu“ i berlińskie pismo perjodyczne Feldmana-Sarmaty „Polnische Blätter“, czuło się gorącą wdzięczność dla tureckiego Wilhelma, że nie jest Feldmanem sarmackim. Feldman z Krakowa pochodzi ze Zbaraża i z ghetta. To wiele mówi na jego usprawiedliwienie ale nie wszystko. „Odkrył go“ p. Józef Kotarbiński, do którego przyprowadził ćwierć wieku temu młodego Wilhelmusia p. Biegeleisen; p. Kotarbiński zachęcił obiecującego adepta do polskości i do literatury, a co z tego wynikło, to widzimy i czytamy od lat dwudziestu; misja nawrócenia p. Feldmana na sarmatyzm to była stanowczo najgorsza rola p. Kotarbinskiego.

Aż do czasu wybuchu wojny europejskiej Feldman-Sarmata trzymał w arendzie Krakowską gałąź tak zwanej „moderny“; kolejno każdego z nas protegował, popierał, reklamował, adorował i kolejno na każdym się fatalnie zawiodł. Nie miał warunków na nowego, na polskiego Brandesa, gdyż miał nieuleczalnie maniery myszuresa, obok kompletnego braku europejskiej wiedzy, smaku, gustu, wyczucia jakiegokolwiek piękna, obok kolosalnej pracowitości zawziętego upartego plebeja. Feldman chciał być koniecznie kolejno każdego z nas Ekermanem, a został ostatecznie „Wagnerem“ Fausta, Wypiańskiego, rasowego i naskórkowego an-

tysemity. Nahalnie wieszanie się Feldmana przy Wyspiańskim i jego czysto żydowska, spekulacyjna adoracja poety „Wesela“ utrudniły ogromnie uprzystępnienie Wyspiańskiego szerokiemu ogółowi polskiemu i wytworzyły najfalszywszą legendę o słabości Wyspiańskiego do żydowstwa... Legendę tę postaramy się wnet doszczętnie rozprószyć.

Kiedy wszechświatowa wojna ras wybuchła, całe żydowstwo polskie t. j. Chazary, mówiący skoszlawionym dżalektem gerono-niemieckim stanęło łąką, solidarnie, bez wyjątku po stronie rasy germańskiej a najzacieklej przeciw jednemu zorganizowanemu w mocarstwo szczepowi słowiańskiemu t. j. przeciw Rosji. Sarmata-Feldman znalazł się u celu i szczytu swych marzeń; został oficjalnym emisariuszem c. k. niepodległości galicyjskiej w Berlinie, w Mece i w Medynie wszystkich Ostjudów. Tutaj krakowski Brandeschen opływał jak pączek w maśle. Jego „sen o potędze“, jego „sen o szpadzie“ się wyśnił. Kwaterą jego potęgi była Cafe des Westens, gdzie się wszystkie patryjoty „za wymówieniem“ wschodnio-europejskich wyzwolonych narodów schodziły i cohnspiro-wały. Citoyen Feldman z citoyenem Kempnerem układały tu mapę przyszłej Polski, na wieczne czasy pogodzonej z Berlinem i z Prusami. Ale podczas kiedy citoyen Kempner musiał wracać do Warszawy, aby tu zostać na kilka miesięcy bardzo namiętnym a bissele koalicyjonistą, citoyena Feldmana mianował N. K. N. rzeczywistym tajnym ambasadorem i uwierzytelnionym pełnomocnikiem. Feldman wydawał tu swoje pismo, poznał się z Naumanem, Schmollerem, T. Wolfem, O. Pinkusem, N. Kachanem, W. Mendelbaumem i wogóle z całym światem dyplomatycznym i politycznym ostatniego cesarstwa. Nosił tedy od rana do nocy poważny szluzrok i grubą tekę przepętnioną dokumentami niesłychanej wagi. Jeżeli już nie z Bettmanem Hollwegiem to w każdym razie z Ezbergierem rozmawiał kilka razy telefonicznie: Hier Feldman, Hallo? Hier Ezberger? Womit kann ich diensen Excellenz. Feldman Sarmata uganiał od Liszta do Dellbrücka, od Rechemberga do Südekuma, urządził u siebie konwentykę, „ważniczylił się“ między Polakami stosunkami z wpływowymi Prusakami, a wśród Prusaków uchodził za cieszącego się zaufaniem wszystkich warstw, „polskiego Hardena“. Złote to były czasy dla komiwojażera literackiego ze Zbaraża. Wyrwali go sobie z rąk księżęta i profesorzy, Polacy i Niemcy nosili groteskową żydowinę na rękach; księżę Drucki Lubbecki czekał u niego w przedpokoju a poczciwy ale naiwne niemowlę polityczne Roniker wierzył w krakowskiego szwindlera jak w Ewangelję. Feldman kwitł. Napisał książkę „Wege zur polnischen Seele (Curtius Verlag)“ z przedmową oberjunkra i ultrahakatysty prof. Willamowitz-Moellendorfa. W Getyndze urządził wieczór polski a rozmaite stare profesory, Webery i Steiny, Jaffowie i Jastrowy były mu już zgóry wdzięczne że

Polskę przyprowadza do Berlina na pasku. Do jakiego cynizmu w szczerości swej doszedł ten patryjota krakowski i agent pangermanizmu w jednej osobie o tem można się przekonać z ostatniego rozdziału książki „Zukunft Polens“ p. t. Um die gemeinsame Sache! Od czasu do czasu ambasador Feldman przyjeżdżał do Warszawy w poważnej misji dyplomatycznej. Drukowały z nim interviewy „Goniec“ i „Głos“ a „Godzina“ a „Kurier Polski“ donosiły, że „bawi w naszym mieście „znany i ceniony“. Feldman okupacyjny matador był namaszczonej i tajemniczy; robił wrażenie że do księcia-regenta i do arcybiskupa wchodzi za każdym razem bez zameldowania. Bredni oblesnego quasimoda o przepotę pruskiej słuchano wszędzie z nabożeństwem. Feldman powiedział to, Feldman tamto. Kiedyś raz przeszedł koło siebie na ulicy Szpitalnej, a ja machnąłem jeno starym podartym parasolem, ambasador berliński szybko jednak odskoczył na bok... Poczem przyszedł Brześć. przesilenie, fiasco. Feldman udawał, że się „stawia“, grał charakterystyczną rolę bohaterskiego nieprzejednanego. W „Pol. Blatt.“ był artykuł jak zwykle anonimowy udowodniający, że Bismarck zawsze życzył nam najlepiej i niczego tak nie pragnął dożyć przed śmiercią jak Polski niepodległej. Równocześnie pisał Feldman bombastyczny list do Naumana, potem Nauman do Feldmana, potem znów Feldman do Naumana i tak bez końca. Wreszcie N. K. N. zdecydował się odwołać swego pupila, który to akt ten maż stanu czwartego tłumaczy obecnie w ten sposób, że „sztab generalny niemiecki zarządził kategorycznie wydalenia Feldmana z granic monarchji“. Skąd ta megalomanja? „Ktoby się tam łakomiał na waszności nędzne życie“? Na pożeganie dostał Feldman attest prawowierności polskiej polskiej, podpisany przez księcia Radziwiłła, tak jakby attest Radziwiłłów w czasie wojny europejskiej nie był właśnie dokumentem wiernej służby ad majorem Germaniac gloriam.

Na rok 1918 Feldman Sarmata naganiaz aktywistyczny się schował. Feldman współpracownik tygodników pangermańskich „Panther“ „Das Grossere Deutschland“ (1914 numer 36; może nie? może omyłka?) delikatnie udawał, że go niema. Przykucał na swym folwarczku pod Krakowem, skąd dostarcza i rozwozi mleczko w blaszankach dla podwawelskiego grodziszczka. „Skończyli się dni wesołe w Aranjouez pobytu, Feldmakler niewesoły wraca do Madrytu“. Przykucał pod Krakowem, zaczął rozmyślać nad marnością świata i „skupiać się“. Prawdopodobnie wzorem Hellferichów i Ludendorffów pisze rewelacyjny pamiętnik dyplomatyczny p. t. „Dyarjusz Mojej Misji w Berlinie“, Wspomnienia dyplomatyczne“.

Narazie jednak wrócił do literatury. Oczywiście pod skrzydłami Karola Stefana Cepakolskiego. Pisze recenzje o powieściach i nowelach młodych, młodszych i jaknajmłodszych. To nie jest znowu taki zły business pisać recenzje o jak najmłodszych. Jaknajmłodszy są jak najwdzięcz-

niejsi. Feldman, który ma w sobie instykt Feldherra chce znów zgromadzić koło siebie bataljon „najwdzięczniejszych“. Modernistą jest zawsze i lubi i popiera „krzyk z ostatniego pokolenia“, choćby krzyczało pokolenie szesnastoletnie. Już jest ekspertem „expressjonizmu“ „dadaizmu“ „barbussizmu“ „picadorizmu“ i „fektorizmu“ i jeszcze kilku najnowszych reklamizmów. Ponieważ trzyma się hasła, że trzeba zżywym „naprzód leźć“ więc cytuje Apollinaira! Feldman i Appollinaire!... Z najnowszego pokolenia dojrzał krakowski Sainte-Beuve (Beuf a la mode) tylko... Tuwima. All-right. Nie dojrzał jeszcze olśniewającego talentu Leszka Serafimowicza, przedziwnie łączącego w sobie najdelikatniejszy liryzm z najokrutniejszym sarkazmem, ale dojrzał tylko p. Tuwima. Tu wimy już dlaczego tak a nie inaczej. W każdym razie wywomitowany przez potitykę wraca Jojne der Modernist do literatury i do krytyki. A to nie jest dobrze. Obecnie bowiem piszą recenzje z książek narazie tylko p. p. Langc, Breiter, Feldman; Arjowie się lenią i próżniaczą. To nie jest dobrze. Literatura może się znów zapfeldmanić.

„Lucidum intervallum“ Zysława.

—o—

Herbert Hoover w interviewie z korespondentem „Daily News“.

„Wszystko zależy od tego, ażeby nastal pokój i żeby Europa napowróć zaczęła pracować. Stanowczo oświadczam, że nie będziemy finansować żadnych dalszych wojen w Europie, ani pośrednio, ani bezpośrednio, jak również nie będziemy wyrzucać pieniędzy po to, ażeby narodom europejskim dać sposobność życia bez pracy, albo też pracowania tylko przez część czasu, jak się to obecnie dzieje w całej Europie. Wszelkie usprawiedliwienia dla tego jakiegos ekonomicznego delirium tremensi skończy się zawarciem pokoju...

Jeżeli więc narody powrócą do pracy i ustanowią rządy porządku jeżeli zaniechają walk i dokonają rozbrojenia to Stany Zjednoczone nie będą robiły pomiędzy nimi różnicy. Chociaż sumy potrzebne na uporządkowanie stosunków są olbrzymie przedstawiają się przecież znikomą w porównaniu z wydatkami na wojnę.

„Jeżeli jednak to się nie stanie choćbyśmy nie wiem co zrobili. Sama tylko podwyżka naszej produkcji nie może żyć Europy w dzisiejszym stanie cel rozleniwienia, chociażby u nas każdy człowiek pracował po 15 godzin.“

A teraz towarzysza Zysława: „Hymn do pracy“ w „Robotniku“.

„Przychodzi więc okres, który właściwie dopiero rozstrzygnie istotnie o naszej przyszłości. Czy potrafimy żyć jako

naród wolny? Odpowiedź na to pytanie będzie odpowiedzią na inne pytanie: „Czy potrafimy własną pracą utrzymać się, ostać się, pośród innych kulturalnych narodów świata?“ Jeśli tedy wolność zachowamy. Jeśli nie — z pewnością popadniemy w niewolę z powrotem.

Kto chce być gospodarzem u siebie, musi umieć gospodarować. (Bravo Zysław!)

W najgłębszej swej treści pytanie to i na to pytanie odpowiedź dotyczy również przeszłości socjalizmu. Proletariat świata i proletariat polski zmierza do przejęcia rządów we własne ręce (?). Możliwe to będzie wówczas tylko, gdy lud pracujący potrafi rządzić (?) i to rządzić lepiej, niż rządziły warstwy uprzywilejowane. Ta tendencja w ruchach proletariatu całej Europy wtedy tylko nie będzie frazesem, hasłem demagogicznym, chwilowym snem o potęgę, jeśli lud pracujący (?) zdławi w sobie epidemię lenistwa, jeśli wielką wolą dźwignie się i wydobędzie z siebie zdolności do pracy, do twórczości. Rosja sowiecką zabija — epidemią lenistwa, nieprawdopodobnie wprost niedołęstwo, brak organizacji, czyli brak zdolności rządzenia.

Praca — bogiem! Lenistwo — wrogiem! — te hasła winny zaryć się głęboko w sercu i myśli socjalisty polskiego (bravo Zysław!)

Wola w życiu politycznym i społecznym stanowi czynnik również ważny, jak w życiu jednostki. Człowiek bez energii, bez woli, chyli się, upada z najbliższego powodu. To samo jest z każdą instytucją, z każdą organizacją, partją, klasą, społeczeństwem. Duchowa gotowość, wewnętrzne, psychiczne przygotowanie do wielkiej, twórczej pracy ma znaczenie w historii równie ważne, jak warunki gospodarcze i polityczne (bravo Zysław!)

Bolszewicy już od 20 miesięcy dzierżą władzę w największym państwie Europy — ale ponieważ wydobyc z siebie woli twórczej, pracy wielkiej nie umieli, giną i zginą. Rosja bolszewicka jest jedynym cmentarzem, nad którym panuje dziki terror dawnych zandarmów, stójkowych i ochrany w mundurze krasnogwardzieja. Najbogatszy kraj pod względem zboża — wymiera z głodu.

Kto nie tworzy, ten niszczy, kto nie umie pracować wytrwale, mądrze, ten nie będzie umiał rządzić! Kto mając pracę, nie chce pracować — ten jest nieuleczalnie chory na tyfus lenistwa i jest skazany na śmierć.

Bravo Zysław!

„Wunderkind“ Straszewicz pisze już w stylu i w duchu hr. E. Reventlova.

—o—

Oto próbka:

„Gazeta Polska“ z dnia... 26 czerwca. Parlament w tych sprawach rządzić nie może (?) i nigdzie nie rządzi (?).

Te rzeczy rozumie (?) szeroka opinia publiczna, to też wojsko nasze i jego Dowództwo odrzucające te śmieszne i występne rozkazy jakie mu śle sejm w sprawach strategicznych może liczyć na całkowite uznanie narodu, który tracąc coraz bardziej zaufanie i szacunek do Sejmu, jednocześnie coraz więcej ma szacunku dla kierownictwa wojskowego.

Prof. Stanisław Kutrzeba*) o R. Dmowskim.

—o—

Polska była potrzebna przeciw Niemcom, aby ich osłabić; w tym względzie jednak interesy różnych państw niezawsze były równie silne. Działała w końcu także nasza świadoma działalność, działalność p. Dmowskiego przede wszystkim, który od razu potrafił postawić kwestję Polski wobec koalicji w właściwym świetle, uzyskując naprzód uznanie Polskijako państwa, następnie zaś jako sojusznika. Kto widział na kongresie, jak się tam traktuje neutralnych, ten wie, co to za olbrzymia zasługa polskiego dyplomaty, że my nie pozostaliśmy neutralnymi. Tam o neutralnych mówi się jak o „boches“, jak o Niemcach; mają do nich sprzymierzeni żal głęboki z tego powodu, iż nie ujeli się za słuszną sprawą i nie pomagali przeciw Niemcom. Gdyby nie to zdeklarowanie się Polski po stronie Koalicji, niestety trochę późnione, dostalibyśmy chyba strzępy niepodległości.“

„Dwóch ludzi zwłaszcza zapisało się niezatartymi głoskami w naszej historii na obradach kongresu: p.p. Dmowski i Paderewski, ogień i woda, zupełnie różni usposobieniami, a jednak w pracy spojeni w jedność. P. Dmowski niesłychanie bystry, nadzwyczaj zręczny jako polityk, umiejący wyzyskać korzystnym moment, użyć odpowiedniego wyrażenia, przytem człowiek twardy. Słabi tylko ludzie ustępują łatwo

*) Znakomity uczony, mało znany niestety w Warszawie, gdzie narzucają się ciągle opinii publicznej reklamiści Askenazy i Handelsman, był przez cały czas kongresu t. j. od marca w Paryżu, gdzie pracował niezmożenie i owocnie w Biurze Prac Kongresowych. Obecnie wrócił do Krakowa, gdzie miał odczyt o działalności polskiej reprezentacji na Konferencji Pokojowej. Jest wysoce przykrem zjawiskiem, że tej miary uczonego nie zdołał zyskać dla siebie Uniwersytet Warszawski, w którym katedrę historii plastować będzie filobosz „neutralista“ dr. Marcell Handelsman.

i idą na kompromisy. Wiemy to zwłaszcza my, tutaj, w Galicji. P. Dmowski kreśli program i broni go całą siłą, kompromisów nienawidzi. Bardzo spokojny, panujący doskonale nad nerwami, niekiedy może zrażający sobie ludzi swoim doskonałym, ale gryzącym dowcipem“.

Straż Bezpieczeństwa.

—o—

Na podstawie uchwały rady ministrów z d. 7 maja r. b. minister spraw wewnętrznych p. Wojciechowski przesłał na ręce marszałka sejmu ustawodawczego projekt ustawy o Straży Bezpieczeństwa. Niezwykły ten pośpiech z jakim rząd Rzeczypospolitej polskiej dąży do rozwiązania sprawy drugorzędnej wagi, sprawy zależnej przedewszystkiem od ustroju konstytucyjnego państwa kryje w sobie niewidoczne na pierwszy rzut oka momenty, na które właśnie chcieliśmy dziś zwrócić uwagę naszych czytelników. Obecny rząd a z nim razem minister spraw wewnętrznych Wojciechowski odziedziczył w spadku po smutnej pamięci swym poprzedniku Thugucie t. z. milicję ludową, której właściwy cel istnienia ujawniło „Liberum Veto“, ogłaszając autentyczną ustawę oraz instrukcję normującą jej stosunek do P. P. S. i do społeczeństwa. Sensacyjne rewelacje nasze w tej sprawie, będące przedmiotem interpelacji sejmowych, haniębny udział uczestników milicji ludowej w licznych napadach bandyckich w Warszawie, wreszcie jawny bunt na północnym froncie bojowym poruszyły do tego stopnia opinię publiczną, że minister spraw wewnętrznych uznał konieczność zlikwidowania tych przyszych (według zamiaru twórców) kadrów czerwonej gwardji. Zdawałoby się że kilkumiesięczne istnienie, tych świetnie umundurowanych, świetnie odżywianych, żołd olbrzymi pobierających, krasnogwardzistów, dostatecznie stwierdziło, że z tugutowsko - pepesowskiego embrjonu nic innego wyrosć nie może, niż to, co wyrosło. Niestety ministerjum do tej pory hoduje tego wyrodka i zamiast uderzywszy się lojalnie w piersi wyznać żal, że przez tak długi czas szerzyło zgorzsenie publiczne pozwalając im waleśać się po ulicach naszej stolicy aby destrukcyjnymi miazmatami zarażały zdrowy dotychczas mimo licznych opióków różnego rodzaju rad robotniczych, organizm policji miejskiej. Bo oto przepisy przejściowe do ustawy o straży bezpieczeństwa dołączone jako aneks do wzmiankowanego na wstępie projektu ministerjalnego w artykule drugim stwierdzają, że funkcjonariusze policji komunalnej i milicji ludowej oraz istniejących urzędów śledczych wcieleni zostaną do Straży Bezpieczeństwa na ogólnych zasadach kwalifikacyjnych. Nie mając zamiaru śpiewać peanów na cześć milicji miejskiej, która jest prawem dzieckiem świetnie funkcjonującej, zapisanej złotem

zgłoskami w dziejach naszego miasta straży obywatelskiej, zwrócić musimy uwagę na absolutną bezpartyjność i poczucie obywatelskie cechujące postępowanie milicji. Niewątpliwie w ostatnich czasach, skutkiem obsadzenia niektórych wyższych stanowisk w milicji przez ludzi niezawsze mających odpowiednie kwalifikacje moralne, tu i ówdzie dają się spotrzegać pewne braki, niemniej jednak naogół biorąc funkcjonuje milicja bez zarzutu. Jeśli zatem p. Wojciechowski jako minister spraw wewnętrznych zamierza do tego sprawnie funkcjonującego organizmu wprowadzić destrukcyjne pierwiastki z milicji ludowej, o której pamięć już dawno winna była zaginać to czyni błędnie, bo na poważny szwank naraża spokój i bezpieczeństwo nie tylko naszego miasta ale i kraju całego. Dla ustrzeżenia milicji naszej od zgubnej agitacji, której dotychczas skutecznie zdołała oprzeć się, należałoby ją na czas przejściowy zmilitaryzować, by utworzyć z niej po uchwaleniu konstytucji dzielne kadry straży bezpieczeństwa dla całego kraju. Milicję zaś ludową należałoby chyba po dokładnem zarejestrowaniu jej uczestników ostatecznie i nieodwołalnie rozwiązać.

s. d.

Złote myśli

TADEUSZA HOŁÓWKI

radcy miasta stoł. Warszawy, urodzonego atoli w Turkiestanie.

Pismo: „Widnokrepi“

I. artykuł: „Martwe Wody“ nr. 2 z 15 Maja R. 1915.

„Namiętnie, z pianą na ustach, uderzył z kolei „postępek warszawski“ i na demokrację narodową za jej nacjonalizm, wszechpolskość, egoizm narodowy i t. d. nie dostrzegając jak doniosłym w stosunku do niego, rewolucyjnym wprost rzutem naprzód był ruch narodowo-demokratyczny, niosący ze sobą tak pożądany, a do dziś jeszcze tak słaby pierwiastek wiary we własne siły narodu (miejsce skreślone przez cenzurę. P. R.) i pragnienie swobodnego rozwoju, ruch wylatujący ponad słupy graniczne, i przez swój wszechpolski charakter będący protestem przeciwko zasadzie trójlojalizmu, idący do chłopu polskiego nie tylko z abecadłem i popularną książeczką o astronomji, lecz budzący w nim zarazem świadomość narodową i, doprawdy, jeśli patrzeć na życie polskie nie przez pryzmat politycznych i społecznych przekonań, lecz po przez umiłowanie jego bujności — to jako typ młodego, niesfornego chama (jakim naówczas był ruch nar.-demokratyczny) wszystkim wymyślającego, pięścią torującego sobie drogę tam, gdzie brakło mu argumentów, lecz za to niosącego ze sobą zgiełk ruchu, rzutność, fenomenalny dar organizacyjny — przedstawia się ocale niebo wyżej od typu nowoczesnego polskiego Diogenesa, wyrafinowanego intelektualisty o książkowej wiedzy, obejmującego wzrokiem duchowym wszechświat, snującego szare systematy z szarej przędzy mózgowej,

W sprawie pułkownika Iwanowskiego.

W związku z artykułem p. n. „Dziwna karjera“ drukowanym w 22 n-rze naszego pisma otrzymujemy od generała Hallera następujące wyjaśnienie:

„Podpułkownik Iwanowski pozostawał w polskiej sile zbrojnej z mojego rozkazu i jako taki utrzymywał ze mną stałą łączność, jako Polak i obywatel stoi ponad wszelkimi podejrzeniami, jako oficer szybkie swe awanse zawdzięcza osobistym zdolnościom“.

Wyrażając wielkie zadowolenie z powodu tej wydanej przez generała Hallera opinji, przecinającej wszelką w tej sprawie dyskusję oraz stawiającą osobę p. pułkownika Iwanowskiego poza wszelkimi insynuacjami, zaznaczamy, że na złożonej przez p. Iwanowskiego prośbie o dymisję generał Haller własnoręcznie napisał następującą rezolucję:

„Podpułkownikowi Iwanowskiemu zwracam podanie z tem, że zgłoszonej w niem dymisji ze stanowiska szefa sztabu nieprzyjmuję. Zupełne zaufanie, jakim darzę podpułkownika Iwanowskiego oparłem na doskonałej służbie; wzywam go w tych ciężkich chwilach przełomu, gdy wróg nam zewsząd zagraża, do pełnienia nadal służby tak jak dotąd z prawdziwym oddaniem i zrozumieniem sprawy“.

List Otwarty Do P. A. Świętochowskiego nr. 5. 8 Czerwca 1915.

„Bo dość tych półsłówek, dość tych niedomówień o „kawalerach“ jakiegoś tam „orzelka na czarno-żółtej wstążeczce“, dość tych oskarżeń o orjentację niemiecką, o prusofilstwo! Gdzie ono? gdzie jest tak potworny Polak, na którego możnaby pokazać palcem: „ten oto kocha Prusy, ten oczekuje od nich dobrodziejstw?“

Z ust Twoich wciąż słyszymy, że Niemcy to nasz największy wróg. Lecz czy nie w tem tkwi nasza tragedia od półtora wieku, iż zgadzając się zasadniczo na to wszyscy w Polsce, nie mogą atoli do dziś porozumieć się co do słuszności tego stopniowania“.

„Na przełomie“.

nr. 14 z 16 Sierpnia 1915.

„Warszawa stoi dziś w obliczu nowej obcej siły. Dotychczasowy stosunek był jasny — Warszawa do chwil ostatnich nie pragnęła widzieć niemieckich wojsk w swych murach; Niemcy nie potrzebowali pomocy Polaków i nic nie robili, by stosunek ten zmienić. Dziś jednak w obliczu faktu dokonanego przed jedną i drugą stroną powstaje konieczność ułożenia swego wzajemnego stosunku. Pierwsze kroki w tym kierunku są jaknajlepsze. Wojska niemieckie, zajmując Warszawę, rozbudziły w nas nie tylko podziw dla swej sprawności i ładu, lecz i szacunek przez swe zachowanie się. Warszawa ujrzała wojska naprawdę kulturalne i europejskie, które swą postawą, całym swym zachowaniem się wyróżniły Warszawę, jako stolicę Polski. Na tę postawę Warszawa odpowiedziała przychylnym i pełnym uprzejmości stosunkiem“.

„Uważamy, że nie nam się dziś gwarancje należą, lecz my Polacy winniśmy złożyć uroczyste niezłomne gwarancje, które przyjąłaby do wiadomości cała Europa, a w pierwszym rzędzie państwa środkowo-europejskie“.

„Naszą pierwszą gwarancją, poświadczoną tysiącletnią historyczną przeszłością i nieznaną lecz upragnioną przyszłością, powinno być oświadczenie, że państwa środkowo-europejskie mogą mieć w nas sojusznika i zadowolili nas jedynie przez stworzenie Niepodległego Państwa Polskiego“.

Dziś jednak wszystkie dane przemawiają za tem, że Austrija i Niemcy bynajmniej nie chcą sprawy polskiej rozwiązywać drogą brutalnej przemocy i zignorowania woli narodu polskiego“.

„Dziś te masy są uleczone z moskalofilstwa, lecz nie z bierności, nie ze swej nieufności do Niemców, na którą złożyło się tyle rzeczy: kolportowanie gorliwie przez N.-D. bajek o rzekomym barbarzyństwie wojsk niemieckich; powoływanie się na politykę w Poznaniu, upewnienia o nieuniknionym podziale Królestwa Polskiego, o intensywnej jego germanizacji w przyszłości i t. d. i t. d.“

„W obliczu wspólnego groźnego wroga, Niemcy i Austrija związane z Polską politycznymi traktatami, będą miały w niej sojusznika, naprzód wysuniętą awangardę wciąż niepokojącą, trapiącą i osłabiającą Rosję, Niemcy i Austrija w tym wypadku znajdują w Polsce wielokrotnie silniejszą i mocniejszą redutę, aniżeli Francja w Belgji, chociaż i ta potrafiła swoje słowo powiedzieć“.

nie widzącego atoli że „posuwa cywilizację“ leżąc już nawet nie na dnie beczki, lecz na brudnym tapczanie skazańca“.

II. „Klątwa trójlojalizmu“.

nr. 6 z 22 Maja 1915.

„Wszystkie trzy polskie dzielnice pozostały wierne swym rządowi — zasada trójlojalizmu zatryumfowała na całej linji, w tej samej chwili, gdy Świętochowski i Dmowski wołali całą duszą, by Galicja i Poznańskie zerwały się do powstania przeciwko Wiedniowi i Berlinowi.“

Galicja do dziś trwa przy swym stanowisku, czynnie je popierając, Poznańskie zachowuje się conajmniej poprawnie względem Berlina.

Tak, gdy p. Dmowski, jedyna bądź co bądź wybitna i silna indywidualność w obozie ugodowym, zaprzagnął naprawdę wielkiej polityki, rzucając na kartę wszystko — potknął się od razu o mur, przez siebie wznoszony: czyż nie byłby on dziś groźnym istotnie dyktatorem polskim, gdyby za nim poszły Galicja i Poznańskie? Lecz niestety...“

„Od góry do dołu“

nr. 4 z 1 Czerwca 1915.

„Czy można wyobrazić sobie większą przepaść nad tę, która dzieli dziś warszawskich „ugodowców“ od wczorajszego ich wzoru — krakowskich „stańczyków“?“

„Dziś zaś cóż widzimy? Dziwolągi tylko, niespotykane w żadnym narodzie. Konserwatyście Jaworskiemu jest dziś duchowo bliższy socjalista Daszyński, aniżeli W. Baranowski“.

„Co dały wiece w Filharmonji?”

Nr. 13, z 12 Października 1916.

„Jestem głęboko przekonany, że prawica stokroć silniej nienawidzi Rosji, aniżeli my, obóz niepodległościowy. I nienawidzi swego okrutnego pana prawica, lecz się boi, miota się rozpaczliwie w błędnym kole przyrzeczonej autonomji, które zakreślił uchodzący pan, i od czasu do czasu brząka żelaziem rozbitych kajdan, by dać znać dalekiej i nieobecnej Rosji, że... w Polsce żyje niewola.”

„Wystąpienie Rumunji (świetne zwycięstwa Makensena w Dobrudży niebawem ten nastrój rozwiały) nastęrczyło polskiemu społeczeństwu myśl, że szala przechyla się na niekorzyść państw centralnych.

Wiece, urządane przez Klub Państwów Polskich i C. K. N. mają przeto takie olbrzymie powodzenie, że wskazują na jakiej drodze ten opór Rosji należy stawić, na jakiej drodze można jak najszybciej realizować tę coraz namiętniej upragnioną Niepodległość.

„W przededniu powstania państwa polskiego”

Nr. 16 z 4 Lutego 1916.

„Państwa centralne uczynią dobrze, przyspieszając chwilę ogłoszenia państwa polskiego, zarówno w interesie własnym, jak i naszym, jak również w interesie najwyższych wartości cywilizacyjnych.”

„Jeśli bowiem w chwili obecnej obie strony prześcigają się w dziele niszczenia, to przez ten fakt narody państw centralnych staną przed Europą w aureoli pierwszych budowniczych nowego życia w Europie na jeszcze dymiących się gruzach. Świadomość zaś, że przez ten fakt po ich stronie stanął całkowicie wielki naród, leżący w środku Europy na żyznej bogatej ziemi, da państwom centralnym podniecie, da nowe siły, nową energję do wytrwania i zwycięstwa. Dla koalicji z punktu widzenia obecnej wojny proklamowanie państwa polskiego będzie ciosem strasznym, i przez ten moralny tryumf państw centralnych, i przez czysto materialne i militarne korzyści, które państwa te zdolają z tego faktu dobyć. Upadnie wobec tego faktu bajka o zachłannych zamiarach Niemiec, stanie przed narodem francuskim i angielskim w całej prawdzie faryzeuszostwo hasel Briand'a i Grey'a; stanie w jasnym świetle zrozumienie, że twórczy pierwiastek wojny spocznie w rękach państw centralnych.”

„Zadania i prawa” demokracji polskiej.

Nr. 17 z 13 Listopada 1916.

Dzień 5 listopada 1916 roku był dniem wielkiego moralnego dla narodu polskiego tryumfu, bowiem uznaly jego prawo i zdolność do samodzielnego bytu państwowego dwa potężne, a co najważniejsza realnie zainteresowane w kwestji polskiej, mocarstwa. Istotnym zaś świętem był dzień ten dla Demokracji polskiej, gdyż tryumf narodu był jej dziełem, w jej bowiem łonie przechowywał się znicz tęsknoty narodu, jej to zasługą, iż ogień tej tęsknoty rozpałał się coraz jaśniejszym płomieniem.”

„Akt państw centralnych stał się słupem granicznym na rubieży dwóch epok: od formy tego aktu zleżała wobec tego dalsza droga i dalsze metody działania polskiej demokracji. I tu stwierdzić chcemy, iż forma aktu zadawała nas przez swą jasność i wyrazistość, przez

stwierdzenie, iż to przyszłe państwo polskie będzie samodzielne, będzie miało własną dy nastję, a co najważniejsze dla nas, Demokracji, będzie miało ustroj konstytucyjny, jak wreszcie i własną armję.”

„Śmiałość decyzji państw centralnych wzmacnia tylko przekonanie w nas, iżemy uczynili dobrze stając na początku wojny po ich stronie i pomimo wszystkich zawodów na tym stanowisku wytrwali, a przez to przeciagnęli na stronę państw centralnych całą niemal resztę narodu.”

„Inne narody rozstrzygają same drogą zmagania się sił politycznych w swoim łonie, w czym rękę spocznie władza i kierownictwo. U nas udział w tym będą brały również państwa centralne, co jest rzeczą zupełnie zrozu-

miąłą wobec wytworzonej sytuacji, która uczyniła z nich stronę zainteresowaną.”

„Należy pamiętać nam dobrze, jak budował Rzeszę Niemiecką Bismarck, który łączył odwagę rewolucjonisty, który nie był sługą żadnej partji, lecz posługiwał się wszystkimi partjami, wszystkimi istniejącymi, chociażby nawet w zarodku, siłami narodu niemieckiego.

Pierwszą próbą dla powstającego rządu będzie sprawa armji. Najprostszą drogą dla każdego rządu byłoby tworzenie armji drogą przymusowego poboru. Na ten walny krok, który oparłby stosunki w nowym państwie od razu na zdrowych podstawach, mógłby się odważyć tylko rząd demokratyczny, posiadający zaufanie ludu, a wobec tego mający wszystkie szanse powodzenia.”

Dziennik naszej misji w Belgji.

Hugh Gibson.

II.

Sierpień 3, 1914.

Wszystkie linje komunikacyjne zostały zamknięte aż do odwołania. Mobilizacja tutaj we Francji wymaga największych wysiłków i we wszystkich kierunkach, i drobne rzeczy dnia codziennego, jakoto poczta i gazety muszą być wyrzucone za nawias. Podług wiadomości, które otrzymałem dziś rano, jak tylko wstałem niemiecki minister wczoraj wieczór przedstawił Belgijskiemu Rządowi ultimatum, żądające przepuszczenia niemieckich wojsk przez Belgję dla zaatakowania Francji.

Widocznie wczoraj, gdy go spotkałem powracał właśnie po wypełnieniu tej miłej misji, ponieważ zdaje się ultimatum zostało wręczone o godz. 7-ej. Król prezydował na posiedzeniu rady ministrów, które trwało całą noc i kiedy 12 godzin czasu postawione przez ultimatum do namysłu minęło, o 7-ej dziś rano posłano odmowną odpowiedź niemieckiej misji. Podczas gdy Rada zasiadała, zostały poczynione wszystkie zarządzenia dla obrony granic państwa przed napaścią. W nocy garnizon opuścił miasto i gwardja cywilna wzięła na siebie obowiązek sprawowania ochrony miasta. Napływ interesantów był tak olbrzymi dzisiaj, jak jeszcze nigdy dotąd, tonęliśmy w nim jak w bagnie. Panna Lerner przyszła do nas i pracowała jak „Trojan”, przyjmowała paszporty, zgłoszenia się i uspakajała kobiety, błagające by im powiedziec czy Niemcy ich nie pozabijają, jeśli wejdą do Brukselli. Bóg nam ją zesłał. Pan de Leval, belgijski adwokat, będący przez 10 lat doradcą prawnym Misji, przyszedł też i przyprowadził z sobą kilku dzielnych urzędników. Ten także z głową pograżył się w robotę, redagował najrozmaitszego rodzaju podania do Ministerjum Spraw Zagranicznych, przyjmował interesantów i jeździł do rozmaitych Misji.

Granville Fortescue przyjechał z Ostendy, chciałem zasadzić go do roboty

lecz miał on inne plany a mianowicie postanowił zabłysnąć jako korespondent wojenny. U niego też wszystko „dla frontu” jak i u innych. Ażeby dowiedziec się co się dzieje, poszedłem po śniadaniu do telefonu spróbować połączyć się z Ambasadą w Londynie. Ku wielkiej mej radości połączono mnie w parę minut i rozmówiłem się z Bellem, drugim sekretarzem Ambasad. Gabinet zasiada od 11-ej dziś rano, lecz dotychczas decyzyja nie wiadoma. Wieczorem znów do niego telefonowałem i otrzymałem taką samą odpowiedź. Bell powiedział mi, że mają też kilka setek ludzi u siebie w kancelarji i gotują się do wytrwania porządnego szturm. Dotychczas o ile można było się dowiedziec, tylko niemieckie patrole wstąpiły na belgijskie terytorjum, do poważnych operacji podobno nie tak daleko. Cały dzień jak długi otrzymywaliśmy różne wiadomości; że pod Visé była bitwa, że 500 belgijszczyków zostało zabitych, później znów utrzymywano, że wypędzono Niemców z ciężkimi dla nich stratami.

Faktyczny rezultat jest taki, iż w końcu dnia wiedzieliśmy trochę więcej aniżeli wiedzieliśmy rano. Parlament jutro rano zbiera się na nadzwyczajne posiedzenie, by wysłuchać króla z powodu niemieckiego ultimatum. Będzie to interesujące widowisko. Parlament przez dłuższy czas zajmował się partyjnymi utarczkami, lecz obecnie słyszałem, iż zostały one zaniechane i wszystkie partje niewyłączając socjalistów skupiły się zwarcie około tronu manifestując tem swą lojalność. Wszystkie regularne wojska zostały wycofane z tej części kraju i wysłane spieszenie na front, pozostawiając ochronę stolicy Gwardji Cywilnej, która patroluje po ulicach i przegląda dowody osobiste każdego, kto tylko przechodzi. Jestto rodzaj miejscowej gwardji, zebranej z ludzi nie powołanych do służby wojennej, lecz dobrowolnie służących dla obrony miejscowej. Są w niej repre-

zentowane wszystkie klasy społeczne, adwokaci i rzeźnicy, piekarze, dentyści i profesorowie uniwersytetu. Naturalnie mają oni mało praktyki w tego rodzaju robocie i tylko mają najelementarniejsze poruczenia do wypełnienia. Są one wypisane na specjalnych listach. Oddziały tej gwardji porozmieszczano po wszystkich strategicznych punktach miasta, zatrzymują przejeżdżające powozy, wozy i automobile, by sprawdzić kto siedzi w środku. I ja byłem przez nich zatrzymywany Bóg raczy wiedzieć ile razy dzisiaj. Zatrzymywali powóz, zaglądali wewnątrz, przepaszali i objaśniali dobrodusznie, że są obowiązani mnie niepokoić, pytali kto jestem i i gdy zadowolnił ich ciekawość przedstawieniem dowodów osobistych, którychby się nie zawstydził i najlepiej wyekwipowany szpieg, puszczali mnie dalej z wielkimi przeprosinami. Paradują oni w tradycyjnych uniformach, w twardych wysokich kapeluszach z piórami. Wygląda to wojowniczo i efektownie.

Sierpień 4, 1914.

Wczoraj rano wstaliśmy wcześniej, aby się udać do Izby Deputowanych wysłuchać mowę króla. Przedtem razem z ministrem spotkaliśmy kilku kolegów idących w tym samym celu. Wiekszość z nich przybyła tam przed nami i wszystkie galerje były przepelnione. Rue Royale ciągnąca się od pałacu naokoło parku do Parlamentu cała zapełniona publicznością utrzymywaną w porządku przez Gwardję Cywilną. Tłum huczał jak olbrzymi rój pszczół. Niespokojne i ciekawe twarze, spojrzenia ludzi których ciemiono przez setki lat, a którzy przecież nie nauczyli się ulegać. Przed gmachem Senatu stały dwie orkiestry gwardji cywilnej wygrywające Braban conne. Grali bezustanku i kiedy jedna zwrotkę kończyli zaczynali ją znów od początku nanowo, żaden z nich nie grał w takt, każdy z osobna dmuchał podług swego gustu i im dłużej grali tym bardziej tłum wpadał w zachwyty. Kiedy zobaczyłem jak strasznie były zapchane galerje, postanowiłem nie cisnąć się tam i zrezygnować z usłyszenia mowy królewskiej, i poszedłem razem z Webberem z Missji angielskiej na balkon, aby zobaczyć przybycie króla i królowej. Byliśmy sami tylko na balkonie, podczas gdy inni zewnątrz walczyli na zabój o miejsca na galerjach ażeby usłyszeć mowę.

O chwili wyjścia obojga królestwa z pałacu doniosły nam entuzjastyczne okrzyki publiczności, które podobne do ryku bałwanów morskich szły przez park. Mały orszak przejechał drobnym kłusem i jakkolwiek drzewa go nam zasłaniały mogliśmy śledzić doskonale jego przybliżanie się do gmachu parlamentu z powodu coraz bardziej wzrastającego entuzjazmu tłumów. Kiedy orszak skręcił z ulicy Royale na Rue de la Loi publiczność stojąca przed Parlamentem wybuchnęła tak szalonymi okrzyka-

mi i oklaskami, że aż szyby zdrząły. Najprzód przybyła swita króla i członkowie jego dworu, potem królowa z dziećmi w odkrytym powozie à la Daumont. Witano królowę z zapalem i serdecznie, jakgdyby chciano zaznaczyć pełne zaufanie do niej pomimo jej bawarskiego pochodzenia, patrzano na nią jako na królowę Belgji i nic więcej. Po królowej przyjechały jeden czy dwa powozy z członkami familji królowej i dworu. Nakoniec król konno w polowym uniformie jenerała porucznika, bez orderów i żadnych odznaczeń przyjętych zwykle przy tak nadzwyczaj ceremonjalnych i uroczystych okazjach jak mowa tronowa. Otaczało go kilku członków swity robiących też wrażenie, iż spieszają raczej dla załatwienia jakiegoś interesu a nie na tak wielką paradę. Gdy król rzucił lejce i zsiadł z konia, okrzyki i wiwaty wybuchły z podwójną siłą, burza oklasków i jeden olbrzymi krzyk złączyły się w imponującą demonstrację lojalności, czapki i laski wylatywały w powietrze. Dwie orkiestry grzmiały, lecz słycać było zaledwie urywane akordy. Wreszcie zaledwie król wszedł do wnętrza, gdy wpadł do nas woźny, schwycił mnie za rękę, coś powiedział, i wskazał mi gestem, bym wszedł do środka. Jedną z galerji przez omyłkę była zamknięta i obecnie ją otworzono i ja z Weberem zostaliśmy wynagrodzeni za naszą skromność, gdyż dostaliśmy swobodne przestronne miejsca. W kilka chwil później przyszedł do nas Boliwijski (paseł i siadł obok. Nasze miejsca były nie dalej jak 100 stóp od tronu, poprostu marzyć o lepszych nie mogliśmy. Królowa weszła spokojnie i poważnie i zajęła miejsce ua tronie z lewej strony trybun wśród ożywionych pozdrowień i okrzyków powitalnych członków obu izb. Gdy się uciszyło wszedł król z prawej strony, skłonił się poważnie zebrany i wszedł prędko na wzniesienie przed trybunami. Szybkiem energicznym ruchem rzucił czapkę na pulpit przed sobą i wrzucił w nią swe białe bawełniane rękawiczki, rozwinął napisaną mowę i zaczął ją czytać. Z początku głos jego brzmiał niepewnie lecz powoli zapanował nad nim i przeczytał mowę do końca głosem pełnym emocji i wzniosłości lecz bez zbytniego oratorstwa lub patosu. Głównym motywem mowy była niezbędna konieczność zgody między partjami i frakcjami, między Francuzami, Flamandami i Wallońcami, katolikami, liberałami i socjalistami, połączenia się w jedno, by stawić zdeterminowany odpór napaści na niepodległość Belgji. Izba z trudnością mogła zapanować nad sobą i po każdym ustępie mowy króla wybuchały frenetyczne owacje. Wreszcie gdy król zwrócił się wprost do członków Parlamentu i zapytał: „Czy jesteście gotowi za każdą cenę bronić świętej spuścizny naszych przodków?“ cała Izba wybuchła jednym krzykiem, który jak ryk pioru-

nu szedł i z ław socjalistów „Za każdą, za cenę śmierci, jeśli trzeba będzie!“

Była to prosta lecz poważna, męska mowa. Podczas czytania jej, on stojący na straży honoru swego kraju był prawdziwie królewską postacią odziana w majestat monarszy i zdającą sobie równocześnie w zupełności sprawę ze straszniego niebezpieczeństwa, jakie kiedy tylko mogło grozić jego krajowi i narodowi. Gdy skończył skłonił się królowej, następnie członkom Parlamentu i szybko wyszedł z sali, przeprowadzony entuzjastycznymi okrzykami zebranych. Senatorowie i deputowani cisnęli się po drodze do niego usiłując uściśnić mu dłoń w tych żywych oznakach szacunku i uwielbienia, socjaliści starali się wszystkich prześcignąć. Po jego wyjściu podniosła się królowa i z pełną godności i skromności prostotą skłoniwszy się zebrany opuściła wraz z dziećmi salę. Jej przypadły w udziale szalone owacje, gdyż każdy czując doskonale trudność jej położenia tym bardziej, podwójnie starał się wyrazić jej całe swe zaufanie i sympatje. Cała ta uroczysta scena była wzruszająca, lecz zwłaszcza widok tak owacyjnie i serdecznie przeprowadzonej tej milej, skromnej królowej był rzeczywiście rozczulający. Łzy nabiegały do oczu, bądź co bądź do moich.

Jeszcze przez kilka minut po wyjściu królowej ciągnęły się owacje i krzyki. Nagle naprężone milczenie zapanowało w sali. M. de Broqueville-prezydent ministrów wszedł na trybunę, stał oczekując uciszenia zebranych. Trząsł się ze wzruszenia i podczas gdy Izba zabierała się do wysłuchania go, widać było jak ręką obcierał łzy, które gwałtem nabiegały mu do oczu. Odrazu zaczął poprostu, iż chce się tylko ograniczyć do przeczytania paru dokumentów i spodziewa się, że po wysłuchaniu ich Izba zechce przyznać, iż Rząd położonego w nim zaufania nie nadużyje zarządzwszy natychmiastową akcję w rzeczach nadzwyczajnej i naglącej wagi. Najpierw odczytał niemieckie ultimatum, które zostało przyjęte przez zebranych spokojnie lecz z oburzeniem i z trudnością hamowanym gniewem. Bez żadnych komentarzy co do powyższej niemieckiej noty, odczytał następnie odpowiedź, która została wręczona niemieckiemu ministrowi. Po niej nastąpiła ostatnia nota, przysłana przez niemieckiego ministra dziś rano, głosząca: „iż wobec odmowy króla, odrzucającej przyjacielskie i życzliwe propozycje cesarza, Rząd Niemiec ku największemu swemu żalowi zmuszony jest przedsięwziąć wszystkie potrzebne środki za pomocą swej armji, konieczne dla jej bezpieczeństwa“. Po odczytaniu tych dokumentów wygłosił krótką lecz płomienną mowę, przerywaną co chwila gwałtownymi pełnymi uniesienia owacjami. Po zejściu z trybuny otoczyli go rozentuzjasmowani senatorzy i deputowani, ściskali mu ręce i wyrażali najwyższe uznanie. Na-

wet socjaliści zwalczający go przez szereg lat starali się jeden przez drugiego wyrazić mu pełną swą aprobatę. Broqueville podniósł się i rzekł: W obecnej krytycznej chwili opozycja okazała nam szczególnie serdeczne poparcie i pomoc, ona skupiła się około

Rządu w chwili redagowania odpowiedzi Niemcom. Aby zaznaczyć to zjednoczenie wszystkich partji Jego Królewska Mość podpisał dekret mianujący pana Vandervelde Ministrem Rządu". To oznajmienie powitała Izba grzmiotem oklasków i p. Vandervelde oto-

czyli natychmiast ministrowie i deputowani zasypując go gradem powinszowań. Jego odpowiedzią na przemówienie premiera było tylko jedno donośne słowo, które przedarło się przez grzmiot oklasków: „Przyjmuję“.

D. C. N.

WUM

WIDOWISKA MORSKIE.

Karowa 18, tel. 86-82.

PIERWSZORZĘDNA ATRAKCJA.

Dr. Ludwik Zieliński, Warszawa, al. Jerozolimska 37 m. 3, tel. 53-62.

POŻAR należy gasić
w zarodku
ręcznym aparatem „**DELFIN**”

Wytwórnia w Warszawie.

Jedyny POLSKI aparat do gaszenia ognia.

PATENT.

Cenniki i kosztorysy na żądanie bezpłatnie.

WYSZŁA Z DRUKU

SPRAWA AGRARNA

Ignacego Grabowskiego

Cena Mk. 2.50. Do nabycia w Księgarniach i Administracji „Liberum Veto“, Sienkiewicza 12.

TERCET - SPIESS Proszek od potu w pudełku z sitkiem.
Żądać w aptekach i składach aptecznych.

GRABIE POKOSOWE
KOMBINOWANE Z PRZETRZĄSACZEM „**WICHER**”
ameryk. fabr. „Massey-Harrisa“ do siana, traw i koniczyn. Zbierają na wały. Przesuwają. Odwracają. Zgrabiają.
GRABIE całostalowe, automatyczne o 32 zębach.

ŻNIWIARKO-WIĄZAŁKI: DEERINGA i MASSEY HARRISA
SZPAGAT amerykański „Manilla“

zapewnia najtańszy sprzęt, a koszt wiązania całkowicie zwraca.

SYNDYKAT ROLNICZY WARSZAWSKI WARSZAWA, ul. KOPERNIKA № 30.

Żadnych nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Administracja „Biblioteki Dzieł Wyborowych“, ulica Sienkiewicza № 12, (dom Tow. Ubezp. Rosja) oraz wszystkie księgarnie w Warszawie.

Na Poznań i Wielkopolskę prenumeratę przyjmuje księgarnia A. Gybulskiego, ul. św. Marcina.

Prenumeratę i sprzedaż na Galicję przyjmuje Polskie towarzystwo Księgarni Kolejowej „Ruch“ (dawniej Hopcas i Salomonowa), ulica Szczepańska № 9 w Krakowie.

Łódź i okolice „Czytaj“ — Piotrkowska 93.

Redaktor przyjmuje w lokalu redakcyjnym codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od g. 5—7 w.

Redaktor Adolf Nowaczyński.

Drukarnia Rybicki i S-ka, Żórawia 7.

Wydawca Stefan Dunin.